

Wieland, Christoph Martin

Tajemnica Zakonu Kosmopolitów

Ars Regia 9/15 - 16, 79-98

2006

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez **Muzeum Historii Polski** w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Christoph Martin Wieland

TAJEMNICA ZAKONU KOSMOPOLITÓW

Wstęp

Przed około czternastu laty dziejopis Abderytów z okazji relacji z niespodzianego spotkania Hipokratesa i Demokryta dostarczył pierwszej informacji na temat niewidzialnego towarzystwa, które pod nazwą kosmopolitów istniało już od paru tysięcy lat i – jak utrzymywał – miało wielką przewagę nad wszystkimi innymi tajemnymi związkami, wywierając ważniejszy i trwalszy wpływ na sprawy tego świata aniżeli którekolwiek z pozostałych mogłoby sobie słusznie przypisać.

Ta skąpa wzmianka o nieznanym dotychczas tajemnym zakonie, jaka tylko przypadkiem i mimochodem wymknęła się wspomnianemu historiografowi, wzbudziła ogólne zainteresowanie, w przyczynę którego nie będziemy tu wnikać. Dość powiedzieć, że im bardziej zagadkowa wydawała się sprawa dla większości czytelników, tym bardziej pragnęli dowiedzieć się czegoś więcej o tej tajemnicy.

Zaciekawienie musiało oczywiście nie mała wzrosnąć, gdyż wkrótce potem pewien słynny w tym czasie człowiek, który wystosowywał usilne wezwania do wszystkich stanów i klas narodu o zgromadzenie niewielkiej sumy trzydziestu tysięcy talarów na założenie niezmiernie dla całego świata ważnego instytutu, zwrócił się imiennie i ze szczególnym naciskiem oraz zaufaniem do kosmopolitów i w ten sposób, jak się wydaje, postawił istnienie tego tajemnego towarzystwa (negowanego wcześniej przez niektórych niedowiarków) poza wszelkim sprzeciwem.

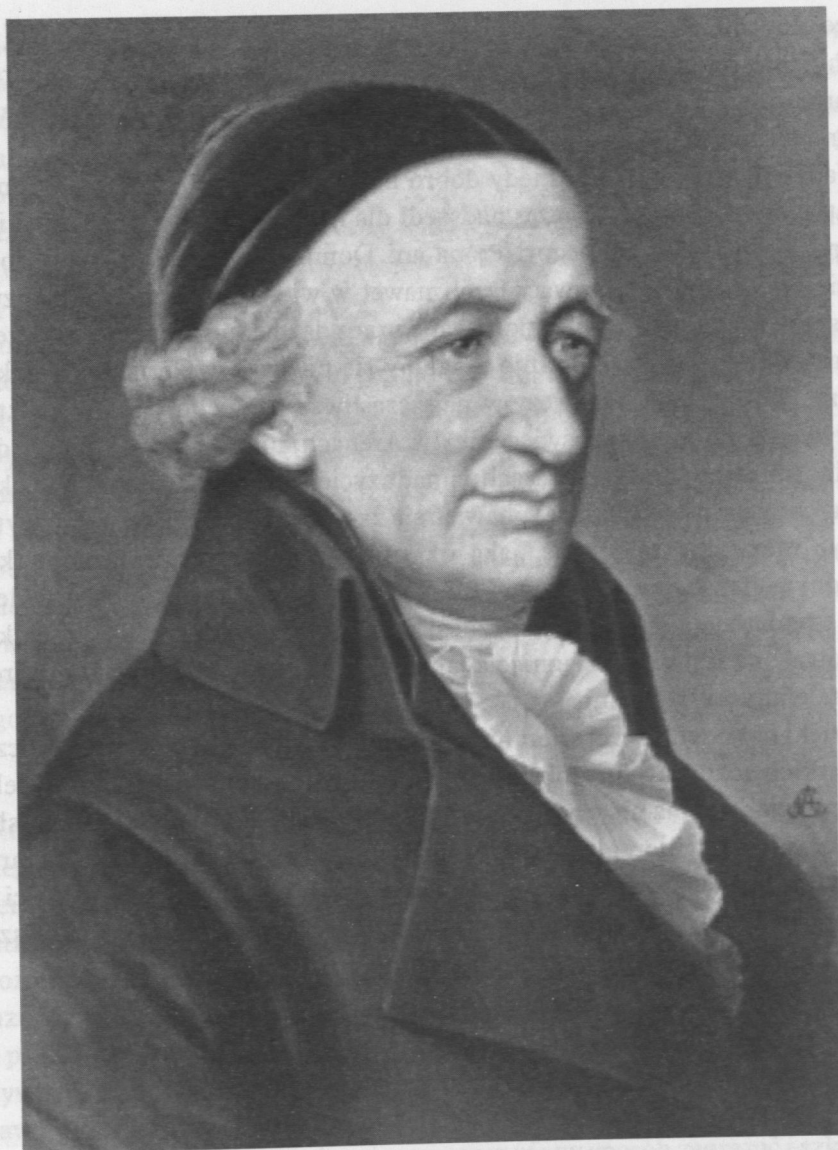
W krótkim czasie nastąpiło to, co przewidzieli wcześniej kosmopolici. Ich niewidzialność jest konieczna z samej natury rzeczy, gdyż żaden z kosmopolitów nie może być członkiem jakiegoś innego tajemnego towarzystwa, ponieważ od momentu podjęcia decyzji na taki krok przestaje być kosmopo-

litą. Zatem, pomimo wszystkich badań i delikatnego opukiwania, prawdziwi członkowie zakonu pozostali ukryci przed wszystkimi do nich nie należącymi. Pewni ludzie, noszący się w owym czasie z daleko idącymi projektami, wierzyli że znacznie je przyspieszą i znajdą do niektórych łatwiejsze dojście, jeżeli zawładną jakąś nazwą, do której, jak się zdaje, przez wiele lat nikt nie rościł sobie prawa jako do sprawy zapomnianej. Przyozdobili się więc tytułem kosmopolitów czyli obywateli świata, aby wzbudzić przekonanie, jakoby byli rzeczywiście i wyłącznie w posiadaniu tajemnicy, o jakiej autor historii Abderytów mówił w tak zagadkowym tonie.

Nie wnikajmy w to, czy podeszli do dzieła jako doskonale znający świat kombinatorzy, albo czy może działali w dobrej wierze. Sami zmyleni przez największą ze wszystkich czarodziejek, naprawdę mogli sobie wyobrazić, że są czymś, czym nie byli. W tę ostatnią możliwość można by tym łatwiej uwierzyć, ponieważ próbując rozwinąć pojęcie kosmopolity, mogli bardzo łatwo dokonać rzekomego odkrycia, że oświecenie świata, jeśli nie jest jedynym, to przynajmniej najznakomitszym sposobem, dzięki któremu kosmopolici wywierają przypisany im wielki wpływ na sprawy ziemskie.

Rezultat mimo świetnych widoków, zdających się zapowiadać naśladowcom kosmopolitów przynajmniej *imperium orbis*, nie spełniał ich gorących nadziei w większym stopniu aniżeli wiedzieli to z góry ludzie, niekoniecznie będący ich wrogami lub tacy, którzy kiwnęli przeciwko nim tylko palcem. Nie przyniosłoby zatem żadnego pożytku, gdybyśmy szerzej wypowiadali się na temat przebiegu spraw. Jednak tu, wydaje się, musimy dodać, iż łudzilibyśmy się mocno, chcąc sobie pochlebić, że powiodłoby się nam kiedykolwiek lepiej z jakimś innym hasłem – np. oświeceniem (które zresztą i tak nazbyt jest synonimem nieszczonego rozświecenia^a, aby obiecywać sobie o wiele lepszy los). Prawdziwi kosmopolici bowiem nie mogą i nie będą dłużej zaprzeczać, że tajemne towarzystwa, z całym swym wewnętrznym ustrojem i sposobem, jakim chcą się zasłużyć rodzajowi ludzkiemu, są całkowitym ich przeciwieństwem, albo uzurpują sobie ich nazwę, albo – obojętne pod jakim innym imieniem – narzucają przekonanie, jakoby cel i środki kosmopolitów były identyczne z ich celami i środkami i że kiedyś, czy to przez przystąpienie poszczególnych osób z ich kręgu, czy to dzięki ogólnemu zjednoczeniu, byłiby zdolni do wspólnego działania.

Najszybszym i moim zdaniem najszlachetniejszym sposobem na osiągnięcie tego celu i położenie kresu kręctwom wszystkich dzisiejszych i przyszłych pseudokosmopolitów (chyba, że świat koniecznie chciałby być z otwartymi oczami oszukiwany) jest bezsprzecznie decyzja, jaką podjąłem – z przyjętym z góry, nieuniknionym zezwoleniem oraz w imieniu całego zakonu – ażeby



Christoph Martin Wieland (1733-1813),
portret pędzla F.C.C. Jagemanna, ok. 1805 r.

Źródło: Wikipedia. Die freie Enzyklopädie, http://de.wikipedia.org/wiki/Christoph_Wieland

to, co dotychczas stanowiło jego tajemnicę, podać do wiadomości bez żadnych przemilczeń tak szczerze i jasno, żeby w przyszłości nawet najbardziej ograniczony człowiek nie mógł się pomylić w odróżnieniu prawdziwych kosmopolitów od fałszywych.

Nadszedł wreszcie czas, kiedy dobro nie ma żadnego powodu, aby unikać światła; przynajmniej taki czas nadszedł dla naszej ojczyzny. Bogu dzięki, nie ma pomiędzy nami żadnego Nerona ani Domicjana, przed którymi dobrzy ludzie musieliby się ukrywać. Jeżeli nawet w wielu stronach prawa rozumu są jeszcze uszczuplane i kwestionowane przez dawne uprzedzenia, to przecież nie ma takiej prawdy, która nie mogłaby się pokazać w Germanii z odkrytą twarzą. Wolny duch badawczy w najszcześniejszym wieku Greków (z którego wywodzi się wszelkie oświecenie), w Atenach, nigdy nie mógł swobodnie działać aniżeli w naszych czasach; a nadużycie rozumu w sprawach spekulatywnych nie musi (i słusznie) obawiać się żadnej innej kary, jak różgi krytyki. I czyż niezwykła tolerancja, jaką okazuje się tajemnym związkom, które w żadnym państwie policyjnym^b nie mogłyby spodziewać się przyzwolenia, czyż ta tolerancja sama nie jest rzucającym się w oczy dowodem, iż całkiem niepotrzebna jest chęć osiągnięcia jakiegoś szczytnego celu ukrytymi drogami i tajemnymi środkami.

Dzięki ogłoszeniu swej tajemnicy, kosmopolici mogą tylko zyskać w oczach wszystkich rozumnych i dobrych ludzi. Ani w ich konstytucji, ani w celach czy środkach nie ma niczego, co musiałoby się skrywać za alegoryczną zasłoną i w ciemnościach hieroglifów. Mogą ukazać światu, kim są i co mają na tarczy. Wy, wszystkie tajemne zakony, jeśli chcecie przekonać nas o prawowitości waszych konstytucji, o uczciwości waszych zamiarów, o niewinności waszych środków – przyjdźcie tu i czyńcie podobnie!

Tajemnica kosmopolitów

I

Przede wszystkim, aby również uniknąć cienia niezrozumienia, musimy wyjaśnić, w jakim znaczeniu kosmopolici są rodzajem tajnego towarzystwa.

Ze wszystkimi innymi założonymi przez ludzi towarzystwami mają mianowicie wspólną cechę, polegającą na pracy na jednakowych zasadach, dla jednego celu, przy pomocy podobnych i zgodnych środków. Natomiast różnią się od wszystkich innych wielkością i doskonałością swego celu, uczciwością swych zasad i sposobu myślenia, zawsze właściwie ukierunkowaną dobrocią i czystą harmonią swych prac i dążeń.

Ale, o ile można dać nazwę tajemnemu towarzystwu, o tyle to, co czyni je kosmopolitami pozostaje zakryte dla oczu większości i skutkiem swej natury jest tak skonstruowane, że nawet po całkowitym obecnie odkryciu jego tajemnicy, niejeden, aczkolwiek bez naszej winy, pojmie z tego niewiele więcej niż poprzednio.

Już na podstawie tej jednej cechy widać, jak istotnie różnią się [kosmopolici] od wszystkich innych zarówno jawnych jak i tajnych towarzystw, związków, zakonów i bractw.

Inne tajemne zakony tylko dlatego są tajne, ponieważ chcą być tajnymi. Tylko od nich zależy, czy ich rzekoma tajemnica przestanie być tajemnicą, a cały świat wie o tym tak wiele lub tak mało, jak oni sami. Krótko mówiąc, ażeby stać się jednym z nich, trzeba tylko zostać przez nich przyjętym i pouczonym o ich tajemnicach.

Z kosmopolitami sprawa ma się akurat odwrotnie. Nikt nie staje się kosmopolitą przez przyjęcie i nauki, lecz znajduje się w ich towarzystwie, ponieważ jest kosmopolitą. Do tego trzeba się urodzić, a dodatkowe pouczenia wnoszą niewiele więcej niż pożywienie i ruch do wzrostu i wykształcenia zwierzęcego ciała, nie mogąc zrobić z niego niczego innego, jak tylko to, do czego mu natura dała materialną formę i wewnętrzne predyspozycje.

II

Kosmopolici nie tylko nie są zobowiązani przysięgą do niezłomnego przestrzegania tajemnicy wobec wszystkich nienależących do ich zakonu, lecz twierdzą nawet, że żadne stowarzyszenie prywatne, bez wyraźnego zezwolenia ze strony państwa, w którym funkcjonuje, nie mogłoby być upoważnione do nałożenia obowiązku tego rodzaju przysięgi na swych członków. Kosmopolici uznają za niedopuszczalne tajne, stwierdzone przysięgą związki, chociażby ich pierwotny zamysł i konstytucja mogły być jak najbardziej niewinne. Jest oczywiste, mówią, że samowolny i nieautoryzowany z pełnym rozeznaniem sprawy przez najwyższą władzę, oparty na przysiędze związek stanowi rodzaj spisku i tworzy państwo w państwie, mogąc w różny sposób zagrażać i szkodzić temu ostatniemu, zwłaszcza jeśli by jedynie od samowoli sprzysiężonych zależało zwiększanie liczby członków do tylu tysięcy czy setek tysięcy, do ilu by im się podobało. Nic, jak tylko zupełna pewność, że sprawy publiczne w żaden inny sposób nie mogłyby zostać uratowane od całkowitej zguby, mogłaby kiedykolwiek usprawiedliwić taką tajną konfederację, gdyż zwykle w żadnym państwie nikomu nie broni się czynić tyle dobrego, ile tylko ktoś może i chce, o ile pozostaje w granicach, jakie wyznaczają ustrój, społeczny porządek i spokój. Założywszy nawet, że te ograniczenia byłyby w niektórych państwach

tak ściśle, iż niejedynemu pozytywnie nastawionemu człowiekowi nie mógłby działać wszystkiego, do czego czułby w sobie powołanie, to powinien i musi uspokoić się w swych myślach, że jako człowiek nie jest zobowiązany do niczego, czego mógłby się podjąć z naruszeniem swych obywatelskich obowiązków.

Zapewnienie, jakiego udziela związane przysięgą tajne stowarzyszenie, że ani jego konstytucja, ani prace nie szkodzą państwu, religii czy obyczajom, założywszy nawet jego całkowitą szczerość, nie może uczynić konfederacji bardziej niewinną czy prawomyślną. Kto nam bowiem zaręczy, że z czasem nie stanie się tym, czym teraz nie jest. Ponadto pojęcia i sądy poszczególnych ludzi na temat tak złożonych i nadzwyczaj zawikłanych spraw są zbyt różnorodne i zawodne, żeby można było w kwestii dotyczącej spokoju państwa zaryzykować twierdzenie, że kierujący takim towarzystwem zawsze dokonują właściwych lub niewłaściwych osądów. Może, wbrew swemu mniemaniu, właśnie skutkiem stosowania środków, co do których wyobrażali sobie, iż są dla nich użyteczne, mogliby podkopać religię i państwo.

Jednak w żadnym wypadku (mówią kosmopolici) nie mogą się takie zobowiązane do tajemnicy stowarzyszenia usprawiedliwiać przykładem starożytnych egipskich, eleuzyjskich i innych podobnych misterii, z którymi doszukują się podobieństwa; nie jest ono w stanie skryć przed nikim znaczącym się na rzeczy zachodzącej między nimi istotnej różnicy, ponieważ owe misteria były organizowane przez samych prawodawców, stanowiły część polityczno-religijnego ustroju i pozostawały pod bezpośrednim nadzorem państwa. Skoro tylko tajemne zakony będą mogły pochwalić się takimi samymi przysięgami, nikt nie zakwestionuje ich prawomyślności.

Zatem pierwszą cechą, którą kosmopolici różnią się od wszystkich tajnych zakonów i związków jest to, że ani nie muszą ukrywać jakiegokolwiek tajemnicy, ani robić jej ze swych zasad i postaw. Cały świat może wiedzieć, co oni myślą, czego się podejmują i jaką drogą podążają. Podśmiewają się z afektacji, z jaką wyciąga się symboliczne książki i hieroglify z czasów dzieciństwa świata, aby zamaskować nimi prawdy, o których każdy usłyszał już w szkole. Jakiej mądrości, mówią [kosmopolici], można się spodziewać od ludzi, którzy z uroczystą miną ubierają i rozbierają przed światem lalki, bawią się w ciuciubabkę i chowają igły? Albo – jakie to mogą być męskie sprawy, od których, pod pozorem powrotu do wczesnego dzieciństwa, chce się odwrócić uwagę ludzi znaczących się na rzeczy?

III

Kosmopolici noszą tytuł obywateli świata w najbardziej właściwym i znaczącym znaczeniu tego słowa. Uważają oni bowiem wszystkie narody zie-

mi za liczne gałęzie jednej jedynej rodziny, zaś wszechświat za państwo, którego wraz z niezliczonymi innymi rozumnymi istotami są obywatelami. Zgodnie z ogólnymi prawami natury mają przyczyniać się do doskonałości całości, przy czym każdy swoimi szczególnymi sposobami zabiega o własny dobrobyt.

Są równocześnie dalecy od obu skrajności: przypisywania człowiekowi głównej roli w wszechświecie lub spoglądania na swoje istnienie jako na mało znaczącą grę przypadku, bez celu, sensu i związku. Wprawdzie człowiek nie uzurpuje sobie niemożliwego określenia własnego miejsca zajmowanego w nieskończonym mieście Boga, nie chcąc (co właśnie jest tak niemożliwe) zbadać, kim był przed wejściem w obecną sferę działania, lub kim będzie, gdy przestanie być tym, kim jest teraz, to wyższość rozumu (która tak wysoko wznosi człowieka ponad wszystkich współmieszkańców tego słonecznego pyłu w wszechświecie będącego naszym światem) przekonuje, że człowiek, pomimo swej pozornej małości, jest nie tylko zorganizowaną i ożywioną materią, ślepym narzędziem obcych sił, lecz istotą myślącą i doskonałą, będąc sam siłą sprawczą. Wpleciony w dwojaki sposób w ogólny plan całości, odgrywa znacznie większą rolę, aniżeli jest zdolny to ocenić.

IV

Z tego przekonania wynika dla kosmopolitów podwójna zasada, którą powodują się w ciągu całego życia:

Pierwsza z nich brzmi: wszystkie postanowienia i następstwa dotyczące ich życia, jeśli nie są zależne od ich woli, wszystko pozorne zło, którego albo nie mogli przewidzieć albo, nawet jeżeli przewidzieli, nie mogli go uniknąć, jako naturalnego następstwa koniecznych kolizji i dysonansów¹, krótko mówiąc, wszystko, co muszą ścierpieć lub niedobrowolnie czynić, o ile są jedynie narzędziami natury, muszą uważać za coś, za co oni sami lub inni są równie mało odpowiedzialni, jak za skutki prawa odwrotności, ciężkości lub jakiegoś innego prawa natury, którego działanie jest konieczne i niedające się powstrzymać.

Druga zasada głosi: całą uwagę, o ile tylko jest to możliwe, kierować na sprawy zależne od ich zrozumienia i woli, czego lepiej lub gorzej mogą dokonać. We wszystkich sprawach, nawet w drobnostkach, stawiać sobie za cel możliwie największą doskonałość i postępować wobec samego siebie z tym większą surowością, im na większą wyrozumiałość mógłby jeden od drugiego liczyć.

Natura (mówią kosmopolici) dała każdemu człowiekowi szczególne predyspozycje do tego, czym ma zostać, a splot różnych okoliczności stawia go

w sytuacjach, które w większym lub mniejszym stopniu sprzyjają rozwojowi. Jednak wykształcenie i doskonalenie natura powierzyła samemu człowiekowi. Do niego należy poprawić to, co natura pozostawiła z błędami lub zgoła zaniedbała i rozwinać swoje uzdolnienia. Stanowi to jego własny interes i nie może mu nic bardziej leżeć na sercu, niż dążenie na swój sposób, niemający w pewnym sensie ograniczeń, aby jak najbardziej zbliżyć się do doskonałości. Ponieważ jednak plan życia człowieka nie zależy tylko od niego samego i powinien być przygotowany na to, że najwyższy władca świata zechce posłużyć się nim w każdej sytuacji, jego pierwszym i najważniejszym obowiązkiem jest zdobyćcie możliwie najlepszej przydatności.

Wysoki stopień tej przydatności, o ile zależy od ćwiczeń, pilności, wysiłku i wytrwałości, a więc od naszej własnej woli, jest tym, co kosmopolici zwą cnotą, a jej ideał stanowi miarę, według której określają wartość poszczególnych osób.

Z tego, co dotychczas zostało powiedziane, wynika różnica pomiędzy mieszkańcami świata a obywatelami świata. Pierwsze określenie przysługuje nie tylko wszystkim ludziom, lecz całej drabinie schodzących w dół zwierząt. Obywatelem świata natomiast, w węższym i szlachetniejszym znaczeniu tego słowa, może nazywać się wyłącznie ten, którego wyznawane zasady i postawy, dzięki ich czystemu współbrzmieniu z naturą, czynią zdatnym do współdziałania w przypisanym mu kręgu na rzecz wielkiego boskiego miasta. Tylko dobry obywatel zasługuje na ten tytuł.

V

Kosmopolici jako tacy nie mają i nie uznają żadnego innego zwierzchnika, jak tylko konieczność i prawo natury, albo – co w zasadzie oznacza to samo – niezbadaną, wieczną praiستotę, będącą początkiem i końcem wszystkiego.

Byłoby bardzo niewiele znaczącą grą słów, gdyby z tego powodu chciano powiedzieć o nich, że mają nieznanych zwierzchników. Jakby ukryty i niedostępny był dla nas najwyższy władca wszechświata, to przecież wiemy wystarczająco o jego rządach, aby mieć do nich nieograniczone zaufanie, a także aby dostatecznie poznać jego prawa, czyli to, co do naszego intelektualnego i moralnego świata wprowadza porządek, zgodę i postępującą doskonałość, by naszej woli i naszej skuteczności działania nadać, w stopniu o ile to od nas zależy, ten sam kształt.

Oprócz tej subordynacji panuje wśród wszystkich kosmopolitów tak doskonała równość, jaka tylko może się ostać wobec ich indywidualnej różnorodności. Pełnomocnictwa i instrukcje otrzymują z rąk natury. Nie istnieje między nimi żadna inna różnica, jak tylko stopień ich przydatności i wew-

nętrzej moralnej dobroci. Ponieważ zaś nie mają żadnego szczególnego tajnego planu, nie łączą ich żadne tajemne więzy celem opracowania daleko idących zamiarów, aby próbować wskrziesić ze zmarłych jakiś wygasły zakon, powołać jakieś kościelne stowarzyszenia, a niczego skromniejszego nie mieć na tarczy, jak zreformowanie świata według ich rozumienia i rządzenie sposobem i sztuką jezuicką przy pomocy sztucznie wymyślonej maszynerii, wymagającej nieustannego nadzoru i pomocy. Krótko mówiąc, ponieważ nie reprezentują żadnego państwa w państwie i nie wiedzą nic o żadnym wspólnym interesie zakonu, który mógłby kolidować z interesem społeczności obywatelskiej lub kościelnej, lub nawet znajdować się w stałej, rozmyślnej opozycji do niej, jest jasne, że nie potrzebują ani szczególnej konstytucji, ani przewielebnej zwierzchności, ani żadnej tajnej kancelarii, żadnego skarbnika i żadnej wspólnej kasy.

VI

Mimo to jest absolutną prawdą, co w innym miejscu już zostało o nich przed czternastu laty powiedziane, mianowicie że pomimo przestrzennej i czasowej odległości, łączy ich najściślejszy wzajemny związek. Bez hasła rozpoznawczego lub umówionego znaku rozpoznają się przy pierwszym spotkaniu i natychmiast zostają się najlepszymi i zażyłymi przyjaciółmi. Cała tajemnica polega na pewnym naturalnym pokrewieństwie i sympatii, jaka w całym wszechświecie rodzi się między bardzo podobnymi istotami, oraz na duchowych więzach, którymi prawda, dobro, i szczerłość serca spajają ze sobą szlachetnych ludzi. Nie znam żadnych silniejszych, żadnych innych więzów, potrzebnych do stworzenia wspólnoty, przewyższające porządkiem i harmonią wszystkie inne ludzkie stowarzyszenia.

VII

Z tego, co powiedziano powyżej, jasno widać, że kosmopolici, gdy mowa o celu ich zakonu, nigdy nie mogą wpaść w szczególne zakłopotanie, jak to widywano wcześniej u innych poważnych i słynnych na cały świat stowarzyszeń. Nigdy nie będą musieli zwoływać ogólnych i szczególnych synodów celem znalezienia tajemnicy ich tajemnicy, aby na pytania: kim jesteśmy, czego chcemy, skąd przychodzimy i dokąd zmierzamy, móc odpowiedzieć w sposób zadowalający przynajmniej siebie samych. Nie istnieją żadne różnice w poglądach na ich cel. Nie ma u nich partii, które różnią się nie tylko sposobem myślenia, lecz są swymi skrajnymi przeciwieństwami i chociaż na zewnątrz wydają się jednością, ich wzajemny wewnętrzny stosunek jest tak zły, iż celem jednej jest zniszczenia dzieła drugiej. Natomiast kosmopolici,

choć wielu z nich jest rozproszonych po świecie, trzymają się wszyscy razem w najściślejszym tego słowa znaczeniu. Jedno serce i jedna dusza, bo mają tylko jeden wspólny cel, nad którym wszyscy spokojnie kontynuują pracę, bezszelestnie, bez szczeru i hałasu ciężkich przekładni, w ukryciu, aczkolwiek widoczni dla wszystkich, każdy na miarę swych sił i środków, a także zgodnie ze stanowiskiem, jakie zajmuje.

Ten cel jest sam w sobie najprostszy, najbardziej niewinny, najbardziej zbawienny, jak tylko można to sobie wyobrazić. Jest bowiem, ni mniej ni więcej, jak wyłącznie tym, co jest zawarte w następującej formule: zmniejszyć bez zrobienia sobie samemu krzywdy sumę zła, jakie uciska ludzkość, i jak najlepiej zwiększyć na świecie sumę dobra. Kosmopolici są świadomi, że w każdym momencie swego życia dysponują szczerą i silną wolą, by dać się użyć do osiągnięcia celu, będącego zgodnie z ich przekonaniem celem ich istnienia i doskonale harmonizującego z wielkim i ostatecznym celem całego wszechświata. Będąc ludźmi jak wszyscy inni, mogą się mylić, zwłaszcza w doborze najlepszego środka lub właściwej miary czy najodpowiedniejszego czasu, jakkolwiek zdarza im się to nieskończenie rzadziej niż innym. Jednak ich cel jest zawsze jedynie prawdziwy, i ponieważ jedną z ich zasad jest nie czynić żadnego dobra przemocą, podstępem albo dwuznacznymi sposobami, nie mówiąc już o bezecnych, zatem, jak powiedziano, jest to jedynie skutek ograniczeń naszej natury, gdy częstokroć w bardzo zawikłanych przypadkach chybiamy swojego szlachetnego celu. Taka sytuacja zdarza się [kosmopolitom] o tyle rzadziej, gdyż w swych osądach nie kierują się uprzedzeniami czy urojeniami, zaś w działaniu ukrytymi zamiarami czy podszeptami namiętności. Mają także tę przewagę nad innymi, że nie tylko ich sposób myślenia jest zawsze zdrowy a ich cel szczerzy, lecz że również, na ile pozwala los ludzkości, działają zawsze zgodnie ze swymi zasadami i dlatego mogą być zawsze pewni, że naprawdę czynią to dobro, które chcą czynić.

VIII

W jakimkolwiek ustroju kosmopolita by żył – obojętne, czy tylko z konieczności czy z własnego wyboru – żyje zawsze jak dobry i spokojny obywatel. Zasady i przekonania, czyniące z niego obywatela świata, są również podstawą jego życzliwości dla społeczności obywatelskiej, której jest członkiem, równocześnie jednak są tym, co ogranicza skutki tej życzliwości.

To, co w starożytnych republikach greckich, jak i przez dumnych obywateli owego miasta, które uważało, że zostało założone do panowania nad światem, nazywane było miłością ojczyzny, jest namiętnością niedającą się pogodzić z kosmopolitycznymi zasadami, poglądami i obowiązkami. Żaden

Rzymianin nie mógł być kosmopolitą, żaden kosmopolita Rzymianinem. Jedynie Pomponiusz Attikus może stanowić wyjątek. W istocie był, również zgodnie ze swym przydomkiem, bardziej Ateńczykiem aniżeli Rzymianinem. I co mógł zrobić lepszego w swych warunkach, podczas burzy, która obaliła arystokratyczną demokrację w Rzymie, niż ograniczyć się do wypełniania swych kosmopolitycznych obowiązków?

Jako obywatel świata – kosmopolita, żyjąc w jakimś państwie, przestrzega wszystkich jego praw, których mądrość, sprawiedliwość i ogólna użyteczność są powszechnie znane, zaś z konieczności podporządkowuje się pozostałym. Dobrze życzy swemu narodowi, lecz równie dobrze życzy wszystkim innym i jest niezdolny do chęci budowania dobrobytu, sławy i wielkości swojej ojczyzny na umyślnej krzywdzie i ucisku innych państw.

Dlatego kosmopolici nie wdają się nigdy w jakieś szczególne związki, które byłyby sprzeczne z praktykowanymi przez nich postawami. Uchylają się od uczestnictwa w administracji państwowej, gdyby jako podstawowe reguły miałyby im zostać narzucone zasady przeciwstawne do ich własnych. Jeżeli zatem w jakimś państwie całkiem pokaźnej wielkości mogłoby się wydarzyć coś rzadszego niż minister, który byłby kosmopolitą, miałoby to wówczas miejsce, gdyby ten minister utrzymał się na swym stanowisku przez kolejne dziesięć lat.

IX

Kosmopolita jest, mocą swych najważniejszych obowiązków zakonnych, zawsze spokojnym obywatelem, również wówczas, gdy może być niezadowolony z aktualnego stanu spraw publicznych. Skoro jednak taka sytuacja musi niekiedy zaistnieć, to choćby miał najlepszą w świecie wolę, żeby to co dobre, nazywać dobrym, nie zawsze może opiewać i oklaskiwać środki i działania przywódców państwa, doskonale widząc i nie pochwalając ich słabości, wad, opaczności, fałszywych kroków, niekonsekwencji itd. Krótko mówiąc, jeśli wie o dużych lub drobnych ułomnościach dotyczących konstytucji, prawodawstwa, policji, ekonomii i całej państwowej administracji, a również zna sposoby ich usunięcia i niczego goręcej nie pragnie niż być w tym pomocny, to jednak z całą pewnością można liczyć na to, że nigdy, ani z pobudek egoistycznych czy patriotycznych, ani pod jakimś innym pretekstem nie zakłóci publicznego porządku i nie będzie dążył do jego poprawy sposobami sprzecznymi z konstytucją i stosując gwałt. Kosmopolita nigdy nie uczestniczył świadomie w żadnym spisku, rozruchach, wywołaniu wojny domowej, gwałtownych rewolucjach, królobójstwie. Nigdy też nie zgadzał się na takie lub podobne sposoby naprawy świata, nie mówiąc już o ich zalecaniu lub publicznym usprawiedliwianiu. Timoleon, który przez

bratobójstwo dał wolność swojej ojczyźnie, Brutus i Kasjusz, którzy w swoim czasie zamordowali Cezara, podczas gdy jego możliwie długie życie byłoby dobrodziejstwem dla świata, Milton, publicznie broniący ścięcia Karola Pierwszego, Algernon Sidney, który uważał, że w walce z tyranem wszystko jest dozwolone – byli republikańskimi entuzjastami, ale nie kosmopolitami.

Wprawdzie nie brakuje przykładów, że także ci ostatni w pewnym sensie mieli swój udział i działali przeciwko nieznośnym nadużyciom najwyższej władzy, przeciwko politycznemu i religijnemu despotyzmowi, ewidentnie niesprawiedliwym i nierozsądnym prawom, ciemną administracji państwowej sprawowanej przez niegodziwych ministrów itp., jednak tylko tak długo, jak działało się to w ramach środków zgodnych z prawem. W takich wypadkach opór stanowi nawet jeden z obowiązków zakonnych. Nie wolno im jednak posługiwać się inną bronią niż bronią rozumu. Mogą jej używać dla dobra sprawy z tak dużą dawką dowcipu, elokwencji, przenikliwości i siłą, jaką tylko dysponują i w tym rodzaju wojny okazać w obronie i ataku tyle rozumu, roztropności, wytrwałości, otwartości i uporczywości, ile tylko jest to możliwe. Jeżeli ze swej strony zrobili wszystko, to spełnili jedynie swój kosmopolityczny obowiązek i nic ponadto.

Skoro jednak widzą, że zapalczywe głowy, stojące na czele ludzi o uczciwych zapatrywaniach i uciemżonych, obierają drogi, które nieuchronnie muszą potężnie wstrząsnąć państwem, a będącą celem poprawa drożej aniżeli jest tego warta, zostanie okupiona szczęściem rodzinnym, dobrobytem i życiem tysięcy i setek tysięcy, wówczas wycofują się i raczej pracują nad tym, aby zagasić rozniecony ogień niż rozdmuchiwać i podtrzymywać płomień. A jeśli głos rozsądku, nakazujący umiar we wszystkich sprawach, nie jest słuchany, rezygnują raczej z wszelkiego działania, zanim naraziliby się na niebezpieczeństwo wyrządzenia, wbrew swym zamiarom – szkody. Również nie wcześniej będą znów aktywni, niż gdy nadejdzie czas budowania według lepszego planu, który musiał lec w gruzach podczas nieokiełzanych ruchów fanatycznego ducha partyjności i wścieklej walki chcącej się utrzymać despotycznej władzy z pragnącą wolności i szukającą zemsty znieważoną ludzkością.

X

Od dawna tłumaczono takie zachowanie kosmopolitów obawą przed ludźmi, małodusznością, brakiem zapału dla dobrej sprawy, interesownym egoizmem i rzeczywiście, ludzie nie będący kosmopolitami mogą się właśnie tak zachowywać z tchórzostwa i braku szlachetnych uczuć.

Ale, według starego i bardzo prawdziwego spostrzeżenia, gdy dwóch robi to samo, nie zawsze jest to to samo i tak jak głupiec może rzecz coś nierozsądnie, co człowiek mądry powiedział mądrze, tak człowiek małoduszny może czy-

nić źle to, czego szlachetny dokonuje w sposób doskonały. Podstawą zachowania kosmopolitów w opisanych sytuacjach jest *pryncypium* należące do ich pierwszych zasad, mianowicie, że w moralnym porządku rzeczy (jak i w fizycznym) wszystko: kształcenie, cały wzrost, postęp ku doskonałości – muszą być przygotowane i realizowane ruchami naturalnymi, łagodnymi, momentami niezauważalnymi. Wszystkie nagłe zakłócenia równowagi sił; wszelkie gwałtowne środki zastosowane, żeby w krótszym czasie spowodować skokowo to, co zgodnie ze zwyczajnym trybem natury może wyrosnąć jedynie w o wiele dłuższym czasie; wszystkie działania tak porywcze, że trudno obliczyć wielkość siły potrzebnej i wystarczającej do zrealizowania sprawy, lecz zawsze narażone na niebezpieczeństwo posunięcia się znacznie dalej aniżeli to konieczne – krótko mówiąc – wszelkie burzliwe, namiętne działania według jednostronnych wyobrażeń i przesadnych roszczeń, jeśli nawet mają na końcu przynieść coś dobrego, równocześnie niszczą go tak wiele i same sprawiają wiele zła, chcąc mu zapobiec, że tylko jeden Bóg jest zdolny do rozstrzygnięcia, co ma przewagę – dobro czy zło w ten sposób spowodowane.

Zgodnie z pryncypiami kosmopolitów, zysk, jaki ludzkość osiąga, stosując gwałtowne środki dla poprawy swego położenia, jest bardziej pozorny niż rzeczywisty. Ich zdaniem, traci ona w ten sposób z jednej strony to, co zyskuje z drugiej. Z nieskończone mniejszym poświęceniem osiągnęłaby właśnie to albo nawet większe dobro, gdyby sam rozum kierował jej siłami. Nawet większego nakładu czasu nie uważają [kosmopolici] za stratę, gdyż wskutek natury rzeczy, większa doskonałość i trwałość dobra zdobytego tą naturalną drogą jest jego niezawodnym owocem.

Ponadto, pozorna neutralność przestrzegana przez kosmopolitów w większości wypadków, kiedy państwo rozpada się na partie, bynajmniej nie jest obojętnością wobec słusznej sprawy, lecz właśnie ich oświecony i uporządkowany zapał do dobrej sprawy jest przyczyną, że nie opowiadają się (z wyjątkiem dwu wypadków) za żadną partią. Zwykle racja leży mniej więcej pośrodku pomiędzy partiami, do żadnej z nich nie należy ani cała słuszność ani cała niesprawiedliwość. Kosmopolici, których osąd nie jest zafałszowany żadną namiętnością, nie są wprowadzani w błąd ukrytymi zamiarami, przy całym swym pozornym spokojem i bezczynnością znajdują tysiące okazji i sposobów, by zapobiec licznemu złu i zrobić wiele dobrego. Uszłoby to ich uwadze, gdyby otwarcie i wyłącznie oświadczyli się za jedną z partii.

Znam tylko dwa wypadki, kiedy kosmopolici jednoczą się z jedną partią przeciwko drugiej.

Pierwszy dotyczy sytuacji, gdy z punktu widzenia moralności jest pewne, że ich publiczne przystąpienie da rzeczywiście przewagę dobrej sprawie.

Drugi, kiedy jakiejś partii cierpiącej w sposób oczywisty niesprawiedliwość grozi, że bez ich pomocy zostanie całkowicie pogiębiona, albo jeżeli jedna partia traktuje drugą z oburzającym ludzkość okrucieństwem. Tak np. podczas niepokojów niderlandzkich za czasów Filipa II i jego diabelskiego narzędzia – księcia Alby, żaden kosmopolita nie mógł postąpić inaczej, jak tylko stanąć po stronie przeciwników tych okrutników. Podobnie byłoby, gdyby (jako przykład pierwszego wypadku) przyszli reprezentanci narodu francuskiego wpadli na dobry pomysł, by despotyczną władzę króla i jego ministrów ograniczyć odpowiednio i zgodnie z charakterem ich państwa, wówczas żaden kosmopolita nie mógłby się ociągać, aby z całych sił wspierać tę partię, dopóki działałaby w granicach wyżej określonych.

XI

Kosmopolici twierdzą, że istnieje tylko jedna forma rządów, której niczego nie można zarzucić, a jest nią – według nich – forma rządów rozumu. Istniałaby wtedy, gdyby rozsądny naród był rządzony przez rozsądnych zwierzchników i rozsądne prawa. Zapewne nie trzeba przypominać, że słowo „rozsądny” jest tu zastosowane w swym właściwym znaczeniu. Nie w znaczeniu jedynie możliwości bycia rozsądnym, lecz określającym rzeczywistą działalność rozumu i pełne wykorzystanie przysługującej mu władzy nad zwierzęcą stroną natury ludzkiej.

Żaden rozumny człowiek nie mógłby zaprzeczyć, że taka forma rządów należy do rzeczy, jakich wprawdzie w pewnym momencie każdy by sobie życzył, ale jakie nigdy jeszcze nie istniały. Jednak to, że jest nie tylko możliwa, lecz również, że cała społeczność obywatelska, skutkiem wewnętrznej potrzeby do niej dąży i, jak powolny może być postęp, z czasem zbliży się do niej coraz bardziej – jest ulubionym twierdzeniem kosmopolitów. Jego prawda nie opiera się na żadnej słabszej podstawie lecz na wielkim, według ich zdania, niezbitym, moralnym pewniku: dzięki niezawodnemu urządzeniu natury rodzaj ludzki zbliża się nieustannie do ideału człowieczej doskonałości i wypływającej z niego szczęśliwości, nie mogąc go kiedykolwiek w pełni osiągnąć.

Zdaniem kosmopolitów, wszystkie dotychczas znane formy rządów są właśnie licznymi naturalnymi stopniami, po których ludzka społeczność wspina się ku najdoskonalszemu rządowi, rządowi rozumu. Każda z tych form tworzyła się początkowo w sposób naturalny, niejako sama z siebie. Była prawie zawsze wynikiem przypadkowych przyczyn, chwilowych potrzeb, osobistych zalet i zasług po stronie panujących, zaś dobrowolnego przywiązania lub wdzięczności po stronie narodu. Każda była mniej lub bardziej dostosowana

do szczególnych warunków danego narodu, wyższego lub niższego stopnia jego kultury, strefy jaką zamieszkiwał, położenia i fizycznych właściwości kraju, pożywienia i sposobu życia, narodowego temperamentu itd.

W owych najdawniejszych czasach, które słusznie zwą się dzieciństwem świata, rozum działał głównie jako instynkt. Ludzie, będący jeszcze dziećmi, jeśli chodzi o doświadczenie – zmysłowi, ruchliwi, lekkomyślni, niespokojni i niecierpliwi jak dzieci – troszczyli się tylko o chwilę obecną i niewiele bardziej niż dzieci przewidywali przyszłość, to znaczy naturalne, ale powolne skutki dnia dzisiejszego. Nieliczne narody żyjące w czasach starożytnych umiały należycie docenić wartość wolności. Jeszcze mniej narodów potrafiło połączyć wolność z porządkiem obywatelskim i sztukę wojny (która w pewnej mierze jest naturalnym stanem ludzi nieokrzesanych) ze sztukami pokoju. Grecy wiedzieli o tym (ich zasługi dla ludzkości nigdy nie zostaną dostatecznie docenione) i dzięki nim Europa powoli stawała się tym, czym jest obecnie i czym zapewne pozostanie na zawsze – prawdziwą ojczyzną sztuk i nauk, częścią świata, w której kultura wzniosła się na najwyższy poziom. Ta część świata, jakkolwiek najmniejsza, na zawsze objęła nad nim panowanie dzięki niezmiernej sile, którą otrzymali jej mieszkańcy wskutek bez porównania lepszego od pozostałych narodów ziemi i stale postępującego doskonalenia wszystkich ludzkich naturalnych uzdolnień.

Tymczasem z wiadomych przyczyn nastąpił znany skutek. Przy bardzo szybkim postępie w poszczególnych gałęziach sztuki i nauki, zależnych od wynalazczości, zapobiegliwości, upartej pilności i współzawodnictwa, które wyzwala konkurencja, najwyższa z wszystkich sztuk – królewska sztuka wprowadzania narodów przez prawodawstwo i administrację państwową w stan szczęśliwości i utrzymania ich w tym stanie – pozostała stosunkowo najbardziej w tyle. Ciągłe jeszcze większa i piękniejsza część Europy doznaje ucisku dławiącego najszlachetniejsze siły ludzkości, ciężkiego ucisku pozostałości barbarzyńskiego ustroju, ciemnoty i błędów nieokrzesanego, ponurego tysiąclecia. Jeszcze w niektórych z naszych najpotężniejszych państw prawa tronu nie są dyskutowane ani rozważane i ustanawiane zgodnie z pierwszym podstawowym prawem wszystkich społeczeństw obywatelskich. Istnieją jeszcze państwa, gdzie nie ogólny rozsądek, lecz często bardzo krótkowzroczne rozumowanie i chwiejna wola jednego jedyne albo niewielu, którzy potrafią zawładnąć jego autorytetem, jest źródłem praw. Jeszcze to, co zwie się sądownictwem, jest w większości krajów sprofanowane barbarzyńskimi lub źle ze sobą skoordynowanymi i niedopasowanymi do czasu i okoliczności, ustawami. Jeszcze w wielu krajach nie ma niczego bardziej niepewnego aniżeli bezpieczeństwo własności, honoru, wolności

i życia obywateli. I to wszystko w Europie! W wieku, w którym sztuka i nauka, smak, racjonalizm i wyrafinowanie w stosunkowo krótkim czasie osiągnęły stopień, z wysokości którego z niejakim zawrotem głowy spogląda się w dół na minione stulecia!

Wydaje się, że również w tych ważnych i na szczęście dla narodów tak istotnych dziedzinach (o ile nas nasze zaufanie nie oszukuje) obecna sytuacja Europy zbliża się do zbawiennej rewolucji. Nie spowodują jej dzikie buntury i wojny domowe, lecz spokojna, niewzruszenie wytrwała uporczywość w obowiązkowym oporze; nie zgubne zapasy namiętności z namiętnościami, przemocy z przemocą, lecz łagodna, przekonująca, wreszcie urzekająca siła rozumu. Krótko mówiąc, będzie to rewolucja bez skapania Europy w ludzkiej krwi i wzniesienia ognia i płomieni, dobroczynne dzieło pouczenia ludzi o ich prawdziwym interesie, ich prawach i obowiązkach, o celu ich istnienia i o jedynych sposobach, jakimi ten cel pewnie i niezawodnie może zostać osiągnięty². Wiadomo, co się już wydarzyło w ciągu bieżącego stulecia. Co powstaje, rozstrzygnie się może jeszcze przed jego końcem i będzie miało ważne następstwa, a można polegać na kosmopolitach, że przy tym wszystkim nie będą beczynnymi widzami.

XII

Z tego, co zostało powiedziane, jasno widać, że kosmopolici, uważają istniejące jeszcze formy rządów tylko za – jakby to powiedzieć – rusztowanie służące budowie owej wiecznej świątyni ogólnej szczęśliwości, przy której w pewnym sensie pracowały wszystkie poprzednie wieki.

Jednak despotyzm jest, według ich pojęć, barbarzyńską formą rządów, która żeby móc się długo utrzymać, wymaga okoliczności i warunków, będących dla oświeconych narodów Europy już nie do pomyślenia. Despotyzm nie był w ogóle znany w tej części ziemi, nawet w czasach poprzedzających kulturę i oświecenie. Przez tysiąclecia wolność była żywiołem zarówno prostych jak biegłych w polityce i wykształconych mieszkańców. Wszyscy założyciele dzisiejszych państw europejskich byli przywódcami ludzi wolnych i gdzie znajduje się (z wyjątkiem jedyne – nordyckiego) publiczny akt, którym naród formalnie i uroczyście zostałby pozbawiony prawa do wolności? Czy raczej nie można wykazać w oparciu o historię, że wszystko, co tron w niektórych państwach uzyskał nad niezaprzeczalnymi prawami narodu albo zostało wyłudzone podstępem lub uzurpowane i wymuszone przemocą. Jednak, czy nie można by udowodnić, że nasi przodkowie byli niegdyś aż tak głupi, żeby przyzwolić na swoje uciemnienie i zaryzykować samowolę jednego lub więcej ludzi, by ci mogli rozporządzać ich osobami i majątkiem. Czy

taki fakt, stojący na przeszkodzie prawu, mógłby działać na szkodę potomnych? Wobec wiecznych prawideł rozumu, wobec istotnych praw ludzkości nie obowiązuje żadne zrzeczenie się, żadne przedawnienie, żadne zaniedbanie okazji, żeby uczynić je obowiązującymi lub się do nich odwoływać. Pierwszą rzeczą, której muszą domagać się ludzie, bez względu na to, w jakim żyją ustroju i co mógłby zakwestionować tylko zdeklarowany tyran, jest „być ludźmi”, nie można zaś być człowiekiem, będąc niewolnikiem.

Stosowanie tej największej podstawowej prawdy, której zaprzeczyć nie ośmieliłby się nawet najbardziej bezwstydnym pochlebca i niczemny pacholek władcy, obfituje w oczywiste wnioski, dające kosmopolitom uzasadnioną nadzieję, że z końcem XIX wieku Europa znacznie bardziej niż obecnie zbliży się do tego, co nazywają formą rządów rozumu. Dobroczynne światło, rozprzestrzeniające się coraz szerzej nad tą częścią świata, sięga coraz głębiej i przeświecła rzekomo świętą ciemność fałszywej sztuki rządzenia państwem – aż po jej najbardziej tajemne pieczary i zakątki. Światło to będzie pouczać coraz lepiej i gruntowniej zarówno narody jak i panujących; pierwszych o rozmiarach ich praw i granicach ich obowiązków, drugich natomiast odwrotnie, o tak często przekraczanych barierach ich uprawnień i zapomnianej wielkości ich obowiązków. Jedni będą się uczyć pojmowania, że tylko idiota pozwoli, żeby żądano od niego oddania złota w zamian za żółte liście i aby bał się piorunów z sproszkowanego nasienia widłaka, ponieważ tylko owce są poddane swemu panu, który jedynie po to pozwala im się paść, żeby je ostrzyc, a jeśli jest mu na rękę, zarznąć. Od nich bowiem tylko zależy, czy uznają, że pajęczyna, którą w jakimś dziwnym zaślepieniu uważali za nierozzerwalną sieć, jest pajęczyną. Z drugiej strony wszechpotężna konieczność otworzy wreszcie także oczy panującym, którym tego potrzeba, i obudzi ich z podobnych do snu urojeń. Żywiąc się nimi od dawna, większość panujących nie poznała się na własnym prawdziwym interesie. Z najgłębszego przekonania, że dla posiadaczy najwyższej władzy państwowej nieskończenie lepiej jest rządzić wolnymi, aktywnymi i szczęśliwymi ludźmi niż zezwierzęconymi, upadłymi na duchu, konającymi powoli z głodu niewolnikami, lepiej panować nad krajami ludnymi, kwitnącymi, pięknymi dzięki pracowitości, zaradności, sztuce i bogactwu, [panujący] wyzbędą się chętnie znieawidzonej władzy, wyrządzającej wbrew ich zamiarom wiele złego, aby bez ograniczeń móc nie czynić niczego innego jak tylko dobro. Zrzekając się z wewnętrznego przekonania sposobu sprawowania władzy, który nie przystoi żadnemu bóstwu, nie mówiąc o ludziach, nie stracą niczego, lecz raczej bardzo wiele zyskają.

Byłaby to zapewne zbyt pochopna nadzieja, gdybyśmy chcieli obiecać sobie tak dobroczynną rewolucję, polegającą na wspaniałomyślnej decyzji [władców] poświęcenia ich własnych korzyści dla ogólnego dobra. Ponieważ jed-

nak leży to oczywiście w ich własnym, najwyższym interesie, należy słusznie oczekiwać, że czas, kiedy tak ewidentna prawda dotrze i do nich, nie jest tak odległy, jak to sobie wyobraża wielu ludzi małodusznych. Potrzeba uczy nie tylko modlitwy, uczy też myślenia. Gdy się rozważy, jak wielka i rozległa jest często korzyść z jednej jedynej rozsądnej myśli, jaką panujący powziął we właściwym czasie, to przyjaciele ludzkości nie mogą się powstrzymać od radości widząc, jak niektórym – jak się wydaje – mocno zależy, żeby wkrótce poddać się tej zbawiennej konieczności.

XIII

Ponieważ najbardziej zgodnej z rozumem konstytucji i rządu, do których (według doktryny kosmopolitów) zbliża się cały splot ludzkich spraw powolnymi, ale tym bardziej pewnymi krokami, nie można niczym więcej przyspieszyć jak tylko możliwie wysoką kulturą umysłu, szerokim upowszechnieniem wszystkich podstawowych prawd, jawnością wszystkich faktów, obserwacji, odkryć, badań, propozycji ulepszeń lub ostrzeżeń przed szkodą. Podanie ich do publicznej wiadomości może być użyteczne dla poszczególnych społeczeństw i państw lub zgoła dla całego rodzaju ludzkiego. Tak więc kosmopolici uważają wolność prasy, bez której niczego nie można by dokonać, za talizman ludzkości, od którego zachowania zależy cała nadzieja na lepszą przyszłość; natomiast jego utrata pociągnęłaby za sobą straszliwe skutki w postaci niedających się przewidzieć nieszczęść.

Tej sprawy nie wolno oceniać ani jednostronnie, ani z lekceważeniem! Wiemy, że w dobrym nastroju można dowcipkować na ten temat lub wzdychać w ponurym. Znane są nam mniej lub bardziej pozorne powody, którymi chce się upiększyć i pomalować rzekomą konieczność nałożenia na prasę arbitralnych ograniczeń. Upadają one same, jeśli się rozważy, że wolność zginie, gdy postawi się przed nią inne i wyższe zapory niż te, na jakie zezwala natura rzeczy. Od dawna jednak zostało niezbitnie udowodnione, że na wolność prasy (bez przycinania jej tak długo, aż z niej nic nie pozostanie) nie powinno się nakładać żadnych innych ograniczeń, jak tylko te obowiązujące każdego pisarza, księgarza i drukarza na podstawie powszechnego cywilnego i karnego prawa. Wszystkie bowiem pisma, których podanie do powszechnej wiadomości w każdym państwie policyjnym^c – bez względu na to, jak wielka mogłaby w nim być osobista wolność – jest przestępstwem i musi nim być z natury rzeczy. Zatem pisma zawierające bezpośrednie obelgi wobec poszczególnych wymienionych z nazwiska albo wyraźnie opisanych osób, zakazane prawem i dezaprobowane; pisma starające się wręcz wzniecić zamieszki i bunt przeciw praworządnej zwierzchności; pisma skierowane przeciwko

praworządnemu ustrojowi państwa; pisma dążące wręcz do zniszczenia wszystkich religii, obyczajności i obywatelskiego porządku – wszystkie tego rodzaju pisma są w każdym państwie niewątpliwie tak samo karalne jak zdrada stanu, kradzież, skrytobójstwo itp. Lecz słówko „bezpośrednio” czy „wręcz” jest tu niezbędne. Jest to istotne, bo cała karygodność jakiegoś zaskarżonego pisma polega całkowicie na tym słówku. Jeżeli wyznaczonemu cenzorowi książek lub sędziemu byłoby wolno sądzić na podstawie wniosków zależnych od jego wyobrażeń, jego szczególnych zapatrywań lub uprzedzeń, rozumienia lub głupoty, znajomości rzeczy albo ignorancji, skrzywienia lub dokładności jego wewnętrznego oka, czystości lub zepsuciu jego uczuć i smaku – jakaż książka byłaby bezpieczna przed potępieniem? Czyż nie wiemy z doświadczenia, że w krajach, w których panuje tak arbitralna cenzura, właśnie najznakomitsze książki są pierwszymi umieszczonymi na wykazie dzieł zakazanych?³

Zatrudnia się zatem cenzora książek, żeby mieć jeszcze jeden urząd więcej, albo badanie pism uchodzących za zbrodnicze pozostawia się sędziemu sądu powszechnego. Niewątpliwie, ten ostatni może zakazać tylko tych książek, których autor popełnił przestępstwo przez ich napisanie, czego rozpoznanie przysługuje sędziemu. Żaden inny cenzor, jak tylko publiczność i czas, który gromadzi i podaje do wiadomości decydujące głosy, nie może ocenić, czy treść książki jest stara czy nowa, interesująca lub mało znacząca, pożyteczna albo szkodliwa, czy autor rezonuje słusznie czy niesłusznie. Na podstawie tego rodzaju zarzutu trudno przemocą skonfiskować książkę, bez naruszenia najbardziej istotnych praw rzeczypospolitej uczonych, która (tak jak chrześcijańska) jest całkowicie niezależna od państwa, dopóki nie przedsięwzię niczego niezgodnego z jego zasadami. Nauka, literatura i sztuka drukarska, najszlachetniejsza i najbardziej pożyteczna ze wszystkich wynalazków od czasu wynalezienia alfabetu, nie należą do tego czy owego państwa, lecz do rodzaju ludzkiego. Chwała narodowi, który potrafi docenić ich wartość, przyjmuje je, pielęgnuje, zachęca, chroni i pozwala żyć swobodnie w wolności, która jest ich żywiołem.

Wśród wszystkich innych narodów naród niemiecki ma szczególny powód, by stać się strażnikiem wolności prasy. Z jego łona narodzili się: najpierw wynalazcy druku, a następnie ludzie odważni, zdolni dzięki swobodnemu jego stosowaniu do uwolnienia połowy Europy spod tyranii dworu rzymskiego, do obrony praw rozumu przed prastarymi przesądami, obudzenia z ponad tysiącletniej drzemki niezależnego ducha badawczego, rozsiewającego dobroczynne światło ludzkiej wiedzy. Jak bardzo nie podobałoby się nam odebranie wyświadczonych przez nas dobrodziejstw, zatrzymanie postępu nauk w trakcie ich najwyższego rozwoju i położenie niezgodnej z naturą ta-

my oświeceni, któremu już tak wiele zawdzięczamy i dzięki któremu my i nasi potomkowie możemy się spodziewać jeszcze wiele dobrego! Oświecenie bowiem mocą natury ludzkiego ducha jest nieskończone jak doskonałość, do której ludzkość z jego pomocą może zmierzać i zmierzać powinna.

Zresztą kosmopolici nigdy nie będą robić tajemnicy z tego, że wolność prasy nie może mieć gorliwszego obrońcy od ich zakonu, ponieważ jest ona rzeczywiście jedyną drogą, dzięki której zakon może dla poparcia swego wyżej opisanego celu, działać w większym i odpowiednim dla swych sił kręgu i w ten sposób wypełniać jeden z najbardziej istotnych obowiązków. Naprawdę, jeżeli ci, którzy nie cenią niczego wyżej od prawdy, nie śmieliby mówić swobodnie, „to musiałyby w końcu zacząć krzyczeć kamienie”.

Przekład Maria Cegielska

Przypisy autora

- ¹ To znaczy całe szczególne zło, którego prawdziwego i pełnego stosunku do całości nie możemy zmierzyć, a więc przekonać się naocznie, jak dalece jest to dobre dla całości.
- ² Jak bardzo także kosmopolici mogą się mylić w swych przypuszczeniach i mogą zostać oszukani w swych oczekiwaniach, okazało się w ciągu ośmiu lat od napisania tego zdania i to w sposób, który musi odstraszać wszystkich naszych współbraci od przypisywania ludziom, skoro tylko działają w wielkiej masie, kiedykolwiek (jakby piękne nie były pozory) więcej mądrości i rzetelności, aniżeli wykazali dotąd.
- ³ Wyznaję, że nie jestem przekonany o konieczności własnej cenzury książek w państwie policyjnym. Dlaczego nie zatrudnia się również specjalnych nadzorców, którzy by pilnowali, żeby nikt się nie upijał, albo nie dał komuś w ucho lub nie ukraść mu zegarka, lub czy nie przekroczył jakiegoś innego przykazania z dekalogu? Całkiem spokojnie ryzykuje się to i zadowala ukaraniem rzeczywistego przestępcy, jeżeli po legalnym śledztwie zostanie mu udowodniona wina. Dlaczego nie postępuje się tak z przestępcami literackimi? Cenzor, któremu wpada w rękę rękopis kryminalny może i wolno mu (z wyjątkiem nielicznych przypadków) niczego więcej nie robić niż zakazać druku. Nie zważając na zakaz, książka zostanie gdzieś wydrukowana i w charakterze kontrabandy przemyczona do kraju. Na co więc cenzura?

Przypisy tłumacza

- ^a Niemiecki termin *Erleuchtung* można tu przetłumaczyć na język polski jako rozświetlenie. Zwykle jednak *Aufklärung* i *Erleuchtung* będące synonimami, tłumaczy się jako oświecenie.
- ^b W XVIII w., w czasach oświeconego absolutyzmu określenie „państwo policyjne” oznaczało skuteczną w działaniu organizację państwową, mającą na celu „uszcześliwienie” obywateli, zgodnie z wyobrażeniami oświeconych władców.
- ^c *Vide* przypis 2.